

PODRÓŻE I ODKRYCIA

# Tubylcy na sprzedaż

Podróżnik, który w trakcie poszukiwań osobliwości ginących cywilizacji widział więcej niż Marco Polo, przybliżył chłodne refleksje nad schyłkiem epoki odkrywania odległych terytoriów i kultur.

JACEK PALKIEWICZ

Dotarcie do wioski Bameño, ukrytej nad rzeką Cononaco we wschodniej części Ekwadoru, zajęło mi trzy dni uciążliwej żeglugi pirogą. Był początek lat 90. ub. wieku i kilkanaście rodzin Huaorani, znanych jako Aucas, czyli dzicy, było już oswojonych z wizytami antropologów. Nadzy, jedynie z cienką przepaską na biodrach, z opadającymi na ramiona czarnymi włosami, z rozciągniętymi płatkami uszu, obwieszani naszyjnikami z zębów jaguara i piranii, żyli w pełnej harmonii z naturą. Wszystko, co posiadali, pochodziło z lasu, z wyjątkiem maczet i garnków zdobytych w najazdach grabieżczych lub wymienionych w innych wspólnotach.

## Huaorani: amazoński lud pierwotny

W globalnych mediach pojawił się w 1984 r., kiedy plemię, z natury niezbyt przyjazne ustosunkowane do białego człowieka, po zamordowaniu kilku techników Texaco, zmusiło koncern paliwowy do wycofania się z ich terytorium. Zdawali sobie sprawę, że ekspansywnie wkraczający na niedostępne dotąd tereny przemysł związany z pozyskiwaniem dóbr naturalnych (głównie sektor drzewny i wydobywczy), połączony z budową dróg i dewastacją, byłby dla nich synonimem zagłady. Nie żyli też sympatii do misjonarzy – pięciu z nich zadźgali dżdżami. W amazońskiej selwie toczyła się, nigdzie nienagłaśniana, cicha wojna. Czulem się tam niczym intruz, bo wiedziałem, że starcie ze współczesną cywilizacją, tak odmienną od warunków, w których żyli przez wieki, to nieunikniony początek procesu rozpadu ich kulturowej tożsamości. Miałem jednak użyteczne alibi: moja obecność przynajmniej miała przyczynić się do udokumentowania krańcowych śladów ginącego świata.

W przeszłości ludność klanowa z powodzeniem odpierała zakusy najeźdźców, konkwestatorów hiszpańskich, baronów kauczukowych, współczesnych kolonistów czy garimpeiros – poszukiwaczy złota. Obecna inwazja białego człowieka jest bardziej bolesna, przynosi bowiem gwałty, cho-



Wyreżyserowany „atak” tubylców na „białych najeźdźców” w Papui Zachodniej

roby, alkoholizm, prostytucje i upokorzenia. Wywierając presję na tych najsłabszych oraz bezbronnych, uzależnia od obcych im obyczajów. Liczba szczepów, które wymarły na przestrzeni wieków, jest nieobliczalna. Tylko w Brazylii w XX w. bezpowrotnie wyginęło 90 plemion indiańskich, z czego 30 – w latach 60.

Do Bameño trafiłem ponownie 12 lat później. Na tradycyjnych ziemiach Huaorani rozpanoszyły się masowe infrastruktury wiertnicze skutecznie ograniczające mobilność autochtonów. Misjonarze i rząd Ekwadoru przenosili ich z obszarów odwiertów do nowo utworzonych misji. Tym razem doleciałem tam wynajętą w Coca awionetką. Byłem oszołomiony, bo zastałem całkowicie inny świat, odnosząc wrażenie, jakby w międzyczasie upłynęło tam kilka stuleci. Towarzyszyłem pięciom osobom z zaprzyjaźnionej rodziny, która wcześniej poznała Masajów, najbardziej znaną na Zachodzie afrykańską populację rodową, zredukowaną do czysto folklorystycznego symbolu uważanego na wyrost za „autentyczną” Afrykę – z lwami, żyrafami, nosorożcami i kolorowymi maskami w tle. Teraz zapragnęła wypatrzeć amazońskiego tubylca „bez zegarka i T-shirta”, unikając przy tym zbyt męczącej dla dzieci podróży. Uważałem, że „moi” Huaorani mogą spełnić ich oczekiwania, tym bardziej że dotarcie do nich było tym razem proste i niewymagające większego trudu. Także strona logistyczna zadawała – istniała tam dzunglowa chatka dla tych, którzy nie potrafili porzucić swojej strefy komfortu. Zapewniona oczywiście była także cała gama atrakcji, począwszy od zaznajomienia z dziewiczym lasem deszczo-

wym, przez wykrywanie roślin medycznych i zbieranie miodu, po udział w polowaniu za pomocą włóczni oraz dmuchawek. Do tych ostatnich trzeba było wcześniej przygotować kilkadziesiąt drewnianych patyczków podobnych do tych używanych do szaszłyków, a potem zamoczyć je w gęstej czarnej substancji curaro – paraliżującym ekstrakcie roślinnym, który zabija ofiarę, nie zatrzymując jej mięsa.

## Rytuály i obrzędy: wyreżyserowana dla turystów egzotyka

Przed zachodem słońca ma miejsce ortodoksyjne show, stały punkt programu branży turystycznej dla klientów, którzy zajęli miejsca dotychczasowych odkrywców, antropologów czy zawodowych badaczy. Kobiety i kilku młodych osobników, których widziałem wcześniej w dżinsach, pojawiło się przed nami niemal nago. I wcale się nie dziwię, że panie wydają się skrępowane, tańcząc z odsłoniętymi piersiami, bo już od dawna tak na co dzień nie chodzą. Spektakl zepsuł niby drobny, ale istotny szczegół, kiedy jeden z Indian w pewnym momencie musiał wyłączyć telefon w torbie zawieszony na plecach.

W 2005 r. oglądałem w dwóch salach Galerii Sztuki Zachęta godną uwagi wystawę fotograficzną „Ginąca Afryka”, odwołującą się do mitu prazdiejowych kultur skazanych na upadek wskutek kontaktu z cywilizacją Zachodu. Zdjęcia dawały wgląd w przeszłość i dostarczały cennego zapisu sposobu życia czarnoskórego ludu Mangbet w latach 20. XX stulecia w Kongu belgijskim. Podkreślały jednocześnie znaczenie ochrony dziedzictwa

kulturowego oraz piękno i różnorodność rodu ludzkiego na świecie. Ich autor, Kazimierz Zagórski, pisał zapewne w dobrej wierze, że we wsi Ekibondo dokumentował życie ludzi nietkniętych cywilizacją. W rok po nim znalazła się tam amerykańska reporterka Grace Flandreau. W jej adnotacjach można przeczytać: „Szczególnie atrakcyjnego kacyka z bliznowymi tatuażami na ciele zastałam w koszuli i szortach. Aby odpowiednio zaprezentować się na fotografii i utwierdzić swoją pozycję, wódz, rozumiejąc zapotrzebowanie, bezzwłocznie się rozebrał, włożył naszyjnik z kłów jaguara i opasał biodra spódniczką z kory”. Przypominam, był rok 1927.

Utarty wizerunek obcych ziem oglądamy w kolorowych katalogach reklam turystycznych biur podróży, które przyciągają wzrok, skupiają uwagę, a następnie rozbudzają chęć skorzystania z oferty. Wypełnione obrazami zanurzonymi w ponadczasowym trwaniu i ubranych w skąpe stroje „dzikich”, wpisują się w stereotypy wyreżyserowanej egzotyki odmienności. Fotografie odpowiadające istniejącym wyobrażeniom są zwykle oszukawcze, bo nie powinny obrócić wniwecz konwencjonalnego obrazu Afryki, dlatego wycięto z nich np. przejeżdżający obok samochodów, druty elektryczne czy tubylca w koszulce Louis Vuitton.

Dziedzictwo, rytuały, obrzędy – wszystko to, czego oczekuje płacąca publiczność, zostało zmiażdżone, upokorzone, stało się wynaturzoną karykaturą wymuszoną przez święte prawa rynku. Tak jest na wszystkich szerokościach geograficznych: wśród kobiet z wytatuowanymi twarzami w birmańskiej wiosce Pan Paung czy „udomowionych”

i przyozdobionych w rytualne stroje Dajaków w Sarawaku. Albo w kulturowej wiosce Bahurutshe w Botswanie, gdzie buszmeńscy statyści pojawiają się odziani jak na karnawał, tańczą, śpiewają, a potem sprzedają pamiątki wycieczkowiczom i robią zdjęcia.

Bardziej groteskowo wyglądają inscenizacje pojedynku pomiędzy Dani w Papui Zachodniej, kiedy kilkudziesięciu „wojowników” z osłoniętym przez „holim” przyrodzeniem, dekoracyjnie wymalowani popiołem i gliną, w pióropusach z piór rajszych ptaków,

z lukami lub włóczniami w rękę, próbują, i to często ze skutkiem, zatrwożyć białego człowieka. Został on tu przyciągnięty mitem regionu zamieszkałego przez ostatnich „dzikich”, gdzie jeszcze do niedawna miały rozgrywać się kanibalistyczne uczty. Idealizując obraz prymitywnego „Innego”, pragnie on poczuć dreszcz emocji, o co zadbał wcześniej touroperator, budując w turystycznym parku tematycznym teatralną scenografię rzeczywistości wyobrażanej sobie przez przybyszy.



Przesadnie duży „holim” papuaskiego wojownika



Mumia z papuaskiego plemienia Dani – na użytek turystów

38 lat temu naiwnie szukałem australijskich Aborygenów. Wykupiłem wstęp do Parku Narodowego, gdzie pół godziny wcześniej grupka tuziemców musiała się przebrać i zaopatrzyć w rekwizyty potwierdzające ich etniczność, prymitywność. Innym odkryciem był też fakt, że w Alice Springs położonym na środku pustyni, prawie połowa krajowców nie przekraczała 45. roku życia. Kiedy pytałem, jak się mają, zwykle słyszałem: „lost!” (zagubieni!). A zgubiła ich, podobnie zresztą, jak i Indian amerykańskich, plaga alkoholi-

lizmu. Wtedy jako globtroter po raz pierwszy doznałem rozczarowania.

Oblicze współczesnej turystyki plemiennej pokazał już w 1988 r. australijski reżyser Dennis O'Rourke w dokumentalnym filmie „Cannibal Tours”. Od dekady Papua-Nowa Gwinea była otwarta na etnicznych obywateli poszukujących egzotycznych wrażeń. Rdzenni mieszkańcy australijskiej części wyspy Nowa Gwinea poddani byli już przyspieszonemu procesowi modernizacji, w wyniku którego patrymonialny tryb życia uległ gruntownej

zmianie. Film rejestruje narodziny komercyjnej obcości oraz szablonowych obrzędów „prymitywnych” ludzi, inscenizowanych na potrzeby podróżników. Doskonale oddaje relacje między niemiecko-amerykańską grupą a rzeczywistością, z ich punktu widzenia „egzotyczna”, traktując lud tubylczy niczym siłę najemną Disneylandu. Amerykański antropolog Edward M. Bruner spuentował to słowami: „Trzeci Świat stanowi w sektorze turystycznym plac zabaw dla zachodniej wyobraźni”.

#### Sydney Possuelo: obronca amazońskich tubylców

W końcu lat 90. poznałem Sydneya Possuelo, legendarnego obrońcę praw amazońskich tubylców, który 20 lat wcześniej stworzył w Funai, rządowym organie Narodowej Fundacji Indian, Departament Odizolowanych Indian i prowadził w niedostępnych obszarach lasu dziesiątki wypraw mających na celu spis bezkontaktowych populacji. Celem działań zainicjowanych przez Possuelo była ochrona tych ludzi przed inwazją białego człowieka, aby zachowując swoje odwieczne tradycje i kulturę, mogli jak najdłużej żyć z dala od świata, który wcześniej czy później tak ich wchłonie. W 2001 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych przyznała Sydneyowi Possuelo nagrodę Bohatera Roku, a tygodnik „Time” nadał mu tytuł Herosa Planety.

Brazylijczyk nierzadko był świadkiem dramatycznej konfrontacji cywilizacji XX wieku i zamierzchłej epoki, w której nadal trwają niektóre szczepy Indian. Czuwał nad procesem ich asymilacji, ale

częściej dążył, aby nie ingerować w ich życie. Jedną z najtrudniejszych podróży odbył w 1996 r. do Doliny Javari, rozciągającej się wzdłuż granic Brazylii z Peru, uznawanej za miejsce największej koncentracji izolowanych od cywilizacji autochtonicznych społeczności na świecie. Jedno z ostatnich sanktuariów pierwotnego świata w niedostępnych terenach górnego biegu rzek Itui, o powierzchni jednej czwartej Polski, daje schronienie kilkunastu grupom koczowniczym liczącym łącznie ok. 2 tys. osobników. Possuelo, przełamując nieufność, zdołał nawiązać kontakt z cieszącymi się złą sławą Korubo, którzy zamordowali wtedy jednego z jego współpracowników. Plemię utrzymuje tylko niewielki kontakt z innymi rdzennymi grupami etnicznymi. Nie znało metali, nie wiedziało, że istnieją miejsca, gdzie ginie las. Słyszeli jednak, że istnieje lud białych i spotkanie z nim oznacza często śmierć, zatem wyprzedzają zakusy najeźdźcy.

Jednak realizacja programu ochrony zaczęła ustępować wymogom ekspansji w głąb amazońskiego interioru nowych inwestycji, dróg, elektrowni, projektów przemysłowych czy poszerzenia plantacji soi. Possuelo stał się niewygodny i został usunięty.

Defensywna postawa Korubo zaczęła się kruszyć 20 lat później. Liczne klany przeszły drogę półcywilizowanego wymiaru, osiągając margines naszego obszaru kulturowego. Oddaliły się od własnego bractwa, niezdolne przystosować się do życia w nowych warunkach, jednocześnie nie potrafiły już powrócić do dżungli. Tradycyjne myślistwo i rybołówstwo przestało być głównym źródłem utrzymania. Indianie zaczęli nosić zachod-

nie ubrania, korzystać z łodzi motorowych i radia. Antropolog twierdzą, że takie zderzenie „z marszu” z cywilizacją pozbawia tożsamości i etosu. Okazało się, że doszło do tego dużo szybciej niż można było się spodziewać. Jesienią 2023 r. jedna z tych społeczności doświadczyła druzgocącej rewolucji, która diametralnie przekształciła ich egzystencję. Ktoś w trosce o ich „uszcześliwienie” zapewnił im dostęp do satelitarnego Internetu Starlink. Internet przerósł ich oczekiwania, młodzież zyskała coś, czego nie była nawet w stanie sobie wyobrazić. Ku desperacji starszyny wspólnoty odkryto, że chłopcy, którzy do tej pory większą część dnia spędzali poza domem, w lesie, nad rzeką, poznając tajniki otaczającej ich przyrody i nie rozstając się z łukiem oraz strzałami, teraz wypełniali czas czatowaniem online z nieznajomymi. W ciągu zaledwie pół roku wielu z nich uzależniło się od mediów społecznościowych, a przy okazji od uważanych za źródło wszelkiego zła, nasyconych agresją gier komputerowych i pornografii.

#### Globalizacja zabija różnorodność kulturową

Gwałtowny proces wywłaszczenia terytorialnego w Amazonii, połączony z dewastacją ekosystemu, budową dróg, obecnością poszukiwaczy złota i innych awanturników czy nielegalną eksploatacją drewna tropikalnego, stanowi istotne zagrożenie dla ludzi potrzebujących dużych przestrzeni do życia. Starcie z dotychczas nieznanym im światem zmusza Indian, tych najsłabszych i bezbronnych, do uzależnienia

się od obcych im obyczajów. Staje się groźbą dla ich harmonii i dziedzictwa, a nawet fizycznej zagłady. Wypychani ze swoich terytoriów żyją na krawędzi unicestwienia. Zachodnia cywilizacja niszczy ich mityczną orbitę i oznacza dla nich: epidemie, gwałty, alkoholizm, prostytucję, choroby i upokorzenia. Pomimo wysiłków wielu międzynarodowych organizacji mających na celu zachowanie dotychczasowych struktur plemiennych, ich los jest przesądzony. Należałoby się tylko starać, by złagodzić negatywne skutki tego etapu. Po wielokroć widywałem na różnych peryferiach takich wewnętrznie rozdartych osobników, którzy – uwięzieni w pół drogi – zapomnieli o beztrojskim życiu. Jeszcze inni nie unikną wystawienia na użytek turystów swoich praktycznych umiejętności oraz kultury – niestety, pozbawionej istotnych wartości.

„Las tropikalny nie przypomina opisów Conrada. Spodziewałem się więcej melancholii, tajemnicy i mroczności, kwiatów i drzewiastych paproci” – żalił się André Gide, prozaik francuski, laureat Nagrody Nobla, podróżując w 1927 r. po rzece Kongo.

Zyjemy w sferze, która wszystko wyjalawia. Rozmywają się narodowe pokrewności. Prowadzące do unifikacji wzorów konsumpcyjnych i stylów życia procesy globalizacji niszczą różnorodność kulturową, zabijają odrębności. Niegdyś eksycytująca planeta gwałtownie się skurczyła i częstokroć nie wierzę oczom, jak bardzo stała się jednakowa.

Kiedy na początku lat 80., wkrótce po otwarciu Tybetu dla obcokrajowców, byłem w Lhasie, przyjeżdżały tam pojedyncze osoby. Potala, majestatyczny pałac forteca, wyrastający o świcie pośród mgieł, oraz ciche klasztory i okoliczne namioty koczowniców żyły klimatyczną atmosferą. Buddyjscy pielgrzymi przybywali, aby oddać cześć Dalajlamie. Dziś funkcjonują tam centra handlowe, dyskoteki i... burdele, które szybko sprowadzają na ziemię wyobrażenia, z którymi przyjeżdża się tutaj po lekturze wydawniczych niegdyś książek. Po Dalajlamie nie ma śladu, a ośrodek duchowy rząd w Pekinie zamienił w muzeum przeznaczane dla przyjeźdźców. Globalizacja i konsumpcjonizm zdominowały świat.

W połowie ub. wieku byliśmy świadkami eksplozji masowej turystyki, która najpierw przyćmiła sferę eksploratorów, a potem wyalienowała wyjątkowo finezyjną formę wojażowania, jaką było odkrywanie odległych terytoriów i kultur. Kontrowersyjne i wielowymiarowe zjawisko rozpowszechniania się informacji i wiedzy odcisnęło swoje piętno na szlakach egzotycznej geografii, niszcząc różnorodność kulturową, zabijając indywidualizm i odrębność. Tubylcy otrzymali „pracę” na użytek turystów, a organizatorzy dbają o to, aby nie zepsuć zdjęcia ewentualnym zegarkiem czy nowoczesnymi tenisówkami. Niegdyś fascynujące dziedzictwo przekształciło się w komercyjny folklor wyprodukowany na użytek masowej turystyki. Peregrynacja po grzebała blask, magia osobliwości i zdominowana przez cepelnię poezja romantycznych podróży pozbyła się swojego dawnego uroku. /©©

Jacek Palkiewicz  
– reporter, eksplorator,  
odkrywca źródła Amazonki,  
twórca survivalu w Europie  
www.palkiewicz.com



Dmuchawka, tradycyjna broń myśliwska prymitywnych plemion